L. Ron Hubbard

Presja

(Strain)

Astounding Science-Fiction, April 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Strain" by L. Ron Hubbard, published by Project Gutenberg, February 21, 2020 [EBook #61474].
According to the included copyright notice: "This etext was produced from Astounding Science-Fiction April 1942. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

To niedorzeczne, powiedział sobie, nie czuć męczarni strachu. Znalazł się w centrum wiru wydarzeń i tu i teraz stał niepewnie na skraju przepaści, ale stał spokojnie, czekając, nie wahając się.

Żaden człowiek, który przeżył wypadek, przeżył ostrzał, przeżył paraliżujące emitery strażników, nie powinien być taki spokojny. I taki spokój nie był nawet do niego podobny; jego wysmukłe dłonie, a nawet delikatne rysy twarzy, przypominały arystokratę, wrażliwego przedstawiciela błękitnokrwistej rasy, którego nerwy przez cały czas były na wierzchu, a od spokoju tych nerwów, zależało zdrowie.

Wrzucili go do kopulastego pomieszczenia, a jego kosmiczne buty zadzwoniły na metalowej podłodze. Gwałtowny blask światła wbił mu się czaszkę, równie mocno co spojrzenie oczu nieprzyjacielskiego oficera wywiadu.

Strażnik pchnął po blacie biurka ich dokumenty identyfikacyjne i oficer wywiadu przejrzał je dokładnie.

— Hm-m-m.

Brutalne, saturniańskie oblicze rozjaśniło się i pojawiło się na nim zainteresowanie. Zmrużone oczy błyszczały satysfakcją kiedy powiódł wzrokiem po obu schwytanych oficerach.

— Kapitan Forrester de Wolf — powiedział człowiek za biurkiem. — Który to z panów?

Popatrzył stanowczo na Saturnianina i był trochę zaskoczony, że wciąż jest spokojny.

— To ja.

— Ach! A więc pan to chorąży Morrison?

Towarzysz kapitana pocił się, a jego głos trząsł się wyraźnie. Jego młodzieńcza, niezbyt inteligentna twarz, drgnęła.

— Nie macie prawa niczego nam zrobić. Jesteśmy jeńcami wojennymi wziętymi do niewoli w mundurach na froncie walki! My traktujemy dobrze schwytanych Saturnian!

To przemówienie, a może przebijający z niego ton paniki, sprawiły oficerowi wywiadu ogromną satysfakcję.

Wstał, wyprostował się z ironią i uścisnął rękę kapitanowi de Wolfowi. Następnie, mniej grzecznie, ale z większym zainteresowaniem, skłonił się lekko chorążemu Morrisonowi. Potem oficer wywiadu usiadł.

— Ach, tak — stwierdził, patrząc w papiery. — Los żołnierza. Zeszliście w zasięg naszych baterii i… no cóż, zeszliście. Mam nadzieję, że panowie nie oskarżają Saturna o brak znajomości zasad wojny. — Ale w tej otwartości dawał się wyczuć fałszywy podtekst. — Przyznamy panom wszelkie przywileje należne wziętym do niewoli oficerom: wynagrodzenie do końca wojny, odpowiednie kwatery, obsługa, dobre jedzenie, dostęp do rozrywki i prawo do opieki nad waszymi mającymi mniej szczęścia jeńcami wojennymi. — Jego oświadczenie nie uległo zakończeniu. Zawisło w powietrzu, czekając na dodatkowe warunki. Po chwili, oficer wywiadu

powiódł po nich szybko fałszywym spojrzeniem i dodał: — Oczywiście wszystko to zależy od chęci przekazania nam pewnych informacji.

Chorąży Morrison oblizał wysuszone wargi. Był jeszcze bardzo młody. Słyszał wiele opowieści o złym traktowaniu, nawet o torturach, jakim Saturnianie poddawali jeńców.

I wiedział, że ponieważ był oficerem sztabu, Saturnianie będą wiedzieli o jego niezamierzonej nawet wiedzy na temat planu bitwy, tak ważnego dla losów tej kampanii. Morrison rzucił przerażone spojrzenie kapitanowi, a następnie próbował przyjąć zawadiacką postawę.

Kapitan de Wolf odpowiedział spokojnie – trochę zaskoczony tym, że potrafił zachować taki spokój, wiedząc, że jako adiutant generała Balantine'a wie o wiele więcej niż zdrowo było wiedzieć.

— Obawiam się — oznajmił spokojnie kapitan, — że nie wiemy nic, co mogłoby być pana przydatne.

Oficer wywiadu uśmiechnął się i ponownie przejrzał papiery.

— Wręcz przeciwnie, mój drogi kapitanie, myślę, że wie pan bardzo dużo. To nie było mądre z pańskiej strony, zakładanie tych oznaczeń sztabu, na patrol zwiadowczy. Nie było również mądre, przypuszczać, że tylko dlatego, iż nigdy nie udało nam się złamać G-434, takiego jak pan, to nie da się tego zrobić. A już wyjątkowym brakiem zdrowego rozsądku, byłoby zakładać, że nie wiemy o zbliżającym się ataku, bardzo rozległym ataku. Wiemy. Musimy wiedzieć więcej. — Jego uśmiech był przymilny. — I to pan, naturalnie, powie nam o tym.

— Idź do diabła! — oznajmił chorąży Morrison, z wyzierającą mu z oczu histerią.

— Proszę, proszę, nie tak pochopnie, panowie — powiedział oficer wywiadu. — Usiądźcie, zapalcie ze mną papierosa i załatwimy to.

Żaden z wziętych do niewoli oficerów nie zrobił ruchu w stronę wskazanych im krzeseł. Przez głowę Morrisona zaczęły przebiegać brutalne, okropne historie, które krążyły wśród żołnierzy z Ziemi, historie dotyczące ziemskich żołnierzy przywiązanych do mrowiska z wysmarowanymi miodem ranami, historie opowiadające o kurierze żywcem obdartym ze skóry, centymetr po centymetrze, o rozciągniętym między palikami człowieku z obciętymi powiekami, aby doprowadzić go do szaleństwa w bezlitosnym blasku południa Merkurego.

Kapitan de Wolf wyłączył się, w ponury, obojętny sposób, stanął z boku, kilka stóp od siebie samego i patrzył, jak mądry, młody kapitan sztabowy bez emocji spogląda na chytrego Saturnianina.

Oficer wywiadu wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Znał się na swojej robocie. Potrafił rozpoznać wyraz twarzy, potrafił niemal telepatycznie wyczuć stojące za nim emocje, i dokładnie wiedział jak ważne informacje musiał zdobyć. Chorążego da się złamać. To może potrwać kilka godzin i wymagać użycia kilku instrumentów perswazji, ale można go było złamać. Inaczej z kapitanem sztabu. Ale ponieważ był on inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, można było go doprowadzić na

skraj szaleństwa, gdzie jego umysł mógł zostać strzaskany i w ten sposób zdradzić informacje. Szkoda było uciekać się do tych środków. Nie był to specjalnie dżentelmeński sposób prowadzenia wojny. Ale istniały pewne konieczne uwarunkowania, nie znające żadnych zasad, no i był jeszcze saturniański sztab generalny, który w tej chwili nie wierzył już w nic takiego jak ludzkie zachowanie.

— Panowie — powiedział oficer wywiadu, patrząc na papierosa, a potem na swoje długie, ostre paznokcie — nie chcemy łamać waszych ciał, niszczyć waszych umysłów i wyrzucać was na śmietnik. To nie ma sensu. Już zostaliście pokonani. Ekstrakcja informacji stanowi u nas naukę. Ja wam nie grożę. Ale jeśli nie dowiemy się tego, czego chcemy się dowiedzieć, będziemy musieli iść dalej. A więc, dlaczego nie powiecie mi wszystkiego tu i teraz, i nie oszczędzicie sobie tych niekomfortowych i godnych pożałowania, aczkolwiek niezbędnych działań?

Znał ludzi. Znał Ziemian. Znał temperament oficerów Stanów Zjednoczonych Ziemi i nie spodziewał się, że zrobią to, co zrobili – zesztywnieli, stali się wrodzy i gniewni. Ale to był dopiero pierwszy krok. Chodziło o zasianie w nich ziarna niepokoju. Wiedział, jak daleko może się posunąć. Uśmiechnął się do nich.

— Panowie — kontynuował, — jesteście młodzi. Kobiety niewątpliwie was kochają. Całe życie jest dopiero przed wami. Nie jest tak źle być dobrze traktowanym jeńcem, naprawdę. Po co ryzykować możliwość złamania ciała, złamania umysłu, zniszczenia i stłamszenia duszy? Nic nie jest tego warte. Powinniście zachować lojalność przede wszystkim w stosunku do samych siebie. Państwo nie jest właścicielem człowieka. A więc, co macie mi do powiedzenia?

Chorąży Morrison spojrzał na swojego kapitana. Obejrzał się na oficera wywiadu.

— Idź do diabła — odparł.

W celi nie było koców ani pryczy. Nie paliło się światło, poza chwilami kiedy wchodził strażnik, a wtedy następował jego oślepiający zalew. Ściany u dołu zakrzywiały się ku środkowi pomieszczenia i nie było w nim płaskiej podłogi, tylko zaokrąglona kontynuacja ścian. Całe to miejsce zbudowane było z dobrze przewodzącego ciepło metalu, a obaj więźniowie zostali odarci ze swoich ubrań.

Kapitan de Wolf siedział pod lodowatym prysznicem i starał się zachować jak najmniejszy kontakt z metalem. Od kilku godzin z metalicznym stukotem skądś spadały krople wody. Nie leciały regularnie, tylko od czasu do czasu po trzy rozpryski, szybko jeden po drugim, a potem ustawały, na dziesięć sekund, dwadzieścia, czasami nawet na minutę. Ciało przygotowywało się na następne krople i mogło rozluźnić się tylko wtedy, kiedy spadły, po to by w czasie spodziewanej przerwy zacząć coraz bardziej się spinać, a potem czekać, czekać, czekać… nabierając w końcu nadziei że już nie nadlecą. Nagle krople zaczynały lecieć – z cichym stukotem działającym wstrząsająco na nerwy.

Kapitan starał się utrzymać myśli w logicznym, regularnym porządku, pomimo zmęczenia, które czuł, pomimo lodowatego wstrząsu, który przeszywał go za każdym razem kiedy się zapomniał i odprężył, opierając plecy o metalową ścianę. Jakże gorące było to obrzydliwe powietrze! Jakże zimna była ta ściana!

— Forrester — dobiegł z ciemności głos Morrisona.

— Jestem — zaskoczyła go siła własnego głosu.

— Czy… Czy to możliwe, że będą nas tutaj trzymać bez końca?

— Nie wydaje mi się — powiedział kapitan. — W końcu nasze informacje nie będą cenne przez dowolnie długi okres czasu. Jeśli liczysz na okazję do jakiegoś działania, myślę, że będziesz ją miał.

— Czy… czy to rozsądne, aby nic im nie mówić?

— Posłuchaj mnie — powiedział kapitan. — Jesteś w wojsku wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że jeśli jeden człowiek zawiedzie, może pociągnąć za sobą cały pułk. Jeśli nam się nie uda, pociągniemy całą armię. Pamiętaj o tym. Nie możemy zawieść generała Balantine'a. Nie możemy zawieść naszych braci oficerów. Nie możemy zawieść żołnierzy. I nie możemy zawieść nas samych. Podejmij w duchu stanowczą decyzję, żeby trzymać usta zamknięte, a poczujesz się lepiej.

Brzmiało to, pomyślał kapitan, straszliwie melodramatyczne. Ale mówił dalej:

— Nie przeszedłeś przez West Point. Kompania, pułk czy armia nie myślą jak jednostka. Nie mogą myśleć same z siebie, i jednostce nie wolno zawieść, ponieważ jest ona istotną częścią większego organizmu. Gdyby któryś z nas teraz się złamał, byłoby to tak, jakby człowiekowi zatrzymało się serce. Mamy po prostu pecha, że w tej chwili akurat, to my jesteśmy takim sercem.

— Słyszałem — powiedział Morrison podejmując próbę makabrycznego żartu — że wypatroszenie jest całkiem przyjemne w porównaniu z pewnymi rzeczami, które potrafią wymyślić Saturnianie.

Kapitan chciałby w pełni wierzyć w banalną uwagę, którą musiał teraz wygłosić.

— Wszystko, co mogą nam zrobić, nie będzie nawet w połowie tak złe, ja to co byśmy czuli w duszy, gdybyśmy zaczęli mówić.

— Pewnie — zgodził się Morrison. — Pewnie, rozumiem to.

Ale zgodził się zbyt szybko.

Wstrząs wywołany jaskrawym światłem był brutalny i nawet kapitan odwrócił się od niego i zasłonił dłonią oczy. Rozległo się stukotanie i szum ześlizgującego się metalu, kiedy jakaś niewidoczna dłoń puściła u dołu drzwi tacę, która zjechała na środek celi.

Morrison popatrzył na nią z radosnym uśmiechem. Wokół dużej metalowej przykrywki, w rodzaju używanych do utrzymywania jedzenia w cieple, rozłożonych było kilka niewielkich naczyń. Morrison chwycił za przykrywkę i uniósł ją. A potem, trzymając ją wciąż w górze, gapił się na jej zawartość.

Na talerzu leżał kot, udręczony i z prośbą w oczach, ukrzyżowany na drewnianej desce z widelcami wbitymi w łapy; po jego oskórowanym boku pełzały i karaluchy wyjadając go łapczywie.

Przykrywka opadła z trzaskiem, a następnie została znowu uniesiona. Jej ciężka krawędź opadła na główkę kota, który z odgłosem pośrednim między westchnieniem i krzykiem, odprężył się, martwy.

Szary na twarzy Morrison ponownie położył przykrywkę na talerzu. Kapitan patrzył na chorążego i starał się skupić całą swą uwagę na reakcji Morrisona, aby uniknąć w ten sposób wymiotów, które podchodziły mu do gardła.

Światło zgasło i obaj wyczuwali, że wpatrują się w ciemność, niemalże czując nawzajem swoje myśli. Z kapitana promieniował przymus milczenia; z Morrisona kotłująca się ale niewypowiedziana panika.

W głowie kapitana de Wolfa huczała w kółko jedna myśl. „Złamie się przy pierwszej szansie jaką mu dadzą. Złamie przy pierwszej szansie jaką mu dadzą. Złamie przy pierwszej szansie jaką mu dadzą. Złamie…”

Ze złością wyrwał się z tego błędnego koła. Jak mógłby wytłumaczyć temu człowiekowi, co by to znaczyło. Jemu, jako oficerowi z West Point, trudno było dotrzeć i zrozumieć reakcje człowieka, który do niedawna jeszcze był pilotem cywilnym. Jak, w ciągu godziny czy nawet dnia, mógłby wzmocnić jego poczucie lojalności?

Był to krok naprzód dla zrozumienia De Wolfa, że uświadomił sobie różnicę między nimi. Wiedział, jak starannie budowano w nim wiarę w służbę i wiedział, jak ważne było to przekonanie. Ale jak sprawić, by Morrison zrozumiał, że jeśli czas i plan ataku zostaną ujawnione nieprzyjacielowi, może umrzeć pięćdziesiąt tysięcy Ziemian, jego przyjaciele, nadzieje Ziemi?

Próżno żałował, że nie było ich w radzie, która zadecydowała o tym, że wiedza o tych sprawach była niezbędna, aby mogli dokładnie zbadać sytuację dla generała Balantine'a. Gdyby Saturnianie nic nie wiedzieli, planeta mogłaby zostać całkowicie oczyszczona z wroga, jednym błyskawicznym uderzeniem z kosmosu i z lądu.

Nagle De Wolf odkrył, że od dłuższego czasu rozmyśla o córce, o której żona mówiła, że zachorowała na odrę. Ze złością oderwał swoje myśli od tak fatalnego tematu. Nie mógł sobie pozwolić na to, aby być człowiekiem, zdawać sobie sprawę z tego, że wielu ludzi będzie się smuciło, jeśli odejdzie. Był częścią armii i jako część tej armii nie miał prawa do własnej osobowości, ani jaźni. Był tutaj i nie mógł zawieść, nie mógł pozwolić aby zawiódł Morrison!

Gdyby tylko te krople przestały spadać!

Kiedy znów zapaliło się światło, było ono dla niego zarówno ulgą jak i cierpieniem. Kapitan nie miał pojęcia, ile czasu już minęło, był świadom tylko męki swego ciała i determinacji, aby nie zawieść.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich ciemnoskóry piechociarz z Saturna. Stojący za nim oficer kiwnął ręką i powiedział:

— Chcielibyśmy porozmawiać z Morrisonem, panie chorąży, jeśli pan pozwoli.

Dopiero w godzinę lub dłużej po zniknięciu Morrisona, kapitan de Wolf zaczął upadać na duchu. Nieregularne, głośne stukanie spadających kropli, nieustanne wstrząsy dla ciała, pocącego się w gorącym powietrzu a następnie dotykającego lodowatego metalu, fakt że Morrison…

Ten człowiek nie był regularnym żołnierzem; był cywilem, niecały rok w wojsku. W przeciwieństwie do kapitana de Wolfa jego osobowość nigdy nie została przekuta na wojskową maszynę, lecz był cywilem, który zyskał osobowość poprzez poszukiwania własnego ja, nie można było pchnąć go zbyt daleko na drodze ku śmierci, bez oporu.

Kapitana de Wolfa, przygniecionego własnym fizycznym i nerwowym dyskomfortem, jeszcze bardziej gnębiła obawa przed pęknięciem Morrisona. I w miarę jak upływał czas, a Morrison nie wracał, De Wolf był coraz bardziej do tego przekonany.

W końcu zerwał się i zaczął walić w drzwi. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi; zamek był nie do pokonania. Odwrócił się szaleńczo i bił pięściami w płyty ścian celi. Dopiero gdy ból z zakrwawionych dłoni dotarł do jego świadomości, zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. On sam pękał. Zdusił ochotę na krzyk, na protest przeciwko spadającej wodzie. Uważnie wziął się w garść i poczuł, jak szaleństwo w jego oczach gaśnie.

Nie było nadziei na ucieczkę. Saturnianie byli na to za sprytni. Nie mógł jednak już dłużej na tyle sobie ufać, żeby dalej czekać, i wykorzystał posiadany czas na zbadanie całej celi. Ściany były grube, płyty nie do przebicia i nie było okna; ale chodząc wielokrotnie tam i z powrotem, wyczuł chropowatość kratki pod stopami. W końcu zaczął ją badać, bardziej był to gest niż jakaś nadzieja. Służyła ona jako jedyne urządzenie sanitarne w pomieszczeniu, była obrzydliwa, śmierdziała i nie mogła prowadzić nigdzie poza kanalizacją.

Przez okres kilku głośnych i szarpiących nerwy kropel, De Wolf stał przykucnięty, z wyjętą kratką w dłoni, pełen niedowierzania. Ponieważ gdzieś w dole odbijał się słaby promień światła i w tym świetle widać było, że jest tam wystarczająco dużo miejsca, aby można było tamtędy przejść!

Nagle przebiegle, przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami. Potem szybkimi, pewnymi ruchami wślizgnął się do brudnej dziury i przesunął nad głową kratkę, na jej miejsce. Światło na końcu tunelu, w którym mógł nawet kucnąć, jeszcze niewidoczne, przywoływało go do siebie.

Czołgał się w szlamie przez dwieście stóp, zanim doszedł do światła, i tutaj zatrzymał się, spoglądając w górę. Nadzieja w nim zamigotała, przygasła i prawie zniknęła w przypływie fali rozpaczy. Światło padało ze znajdującej się w górze kraty, położonej czternaście stóp ponad dnem tunelu, daleko poza możliwością wspięcia się po śliskiej gładkiej ścianie. Spróbował do niej doskoczyć, ześlizgnął się i spadł, paskudnie uderzając się w głowę, kiedy upadł.

Znów mocno wziął się w garść. Zmusił swój wytrenowany umysł do myślenia, zmusił swoje wyszkolone ciało do posłuszeństwa. Stanął z dala

od siebie i krytycznie obserwował swoje działania i odruchy, jakby był kimś innym niż człowiek, będący bohaterem tego show.

Popatrzył dalej wzdłuż tunelu i odsunął się od światła. Był pewien, że los da mu jeszcze inną szansę ucieczki. Nie mógłby doprowadzić go tak daleko bez żadnej rekompensaty. Wkrótce w górze tunelu wyczuł kratkę, która mogła wychodzić na pustą celę. Poszedł dalej. Tunel skręcił, wtedy nowy dźwięk sprawił, że zaczął macać ręką, zanim zrobił kolejny krok. Znajdował się tam jakiś spadek, pustka która mogła ciągnąć się przez dziesięć stóp lub sto. Musiał zawrócić albo zaryzykować.

Woda, która powoli spływała wokół jego kostek, przelewała się przez miękką krawędź dziury i spadała bezgłośnie. Nagle przepełniły go mdłości, panika i złe przeczucia. Ta obrzydliwa pułapka, w którą się zapuścił, trzymała go mocno, więziła, schwyciła go w jakimś niesamowitym celu i nigdy się nie podda.

Zmusił się do opanowania. Zdusił swój strach. Rzucił się na oślep przez krawędź otworu.

Nic mu się nie stało, bo spadł mniej niż sześć stóp, a dno było miękkie. Przykucnął, zderzały się w nim odraza z ulgą. Ale kiedy znowu rozejrzał się wokół siebie, poczuł szalony przypływ nadziei, bo z przodu widać było światło!

Brnąc przez wodę, rozpryskując ją i opierając się o ściany, pokonał zakręt i zobaczył oślepiająco silne światło dzienne. Przez krótką chwilę nie mógł na nie patrzeć bezpośrednio, a jego rozum nie pojmował całości obietnicy, jaką dawało.

Ale w końcu, kiedy źrenice zwęziły mu się do normalnych rozmiarów, a świadomość sytuacji zmieniła się w zrozumienie, podszedł do przodu i spojrzał w dół. Po raz kolejny nadzieja w nim umarła. Stał bowiem nad przepaścią o wysokości niemal stu stóp, skalną ścianą, która nie zapewniała najmniejszego uchwytu, wysmarowana przez śliski muł ścieków i wygładzona przez wodę.

Przylgnął nieszczęśliwy do krawędzi przepaści, przyjrzał się wielkiej kopule bazy wojskowej położonej o milę dalej, obejrzał skupisko metalowych chat stojących przed nim na równinie, obserwował odległe kropki, z których każda oznaczała żołnierza. W górze rozległ się ryk silnika i cofnął się, aby nie dostrzegła go załoga małego samolotu zwiadowczego, który przeleciał nad kopułą. Kiedy odgłos ucichł, ponownie zaryzykował spojrzenie, tym razem unosząc wzrok aby upewnić się, że nie widać go z góry. I nadzieja znów w nim zapłonęła.

W ścianie nad otworem znajdowały się uchwyty w postaci wystających kamieni, a wspinaczka była nie dłuższa niż dwadzieścia stóp!

Trudno było wysunąć się z otworu i złapać pierwszy kamień. Trzeba było zebrać się na odwagę, aby odsłonić się przed wartownikami, którzy choć znajdowali się dwa tysiące jardów dalej, mogli go łatwo zdjąć ze ściany, gdyby go zauważyli.

Kamień, za który złapał, poluzował się pod jego dłonią i prawie spadł ze skalnej ściany. Przywarł dysząc do krawędzi przepaści, mocno się trzymając, zmęczony do granic wytrzymałości nagłym szokiem. A potem znów się poderwał i warknął na siebie ostro, żeby ruszać dalej do góry.

Następny odłam skalny, któremu zaufał, wytrzymał i po kilku chwilach był już przyklejony do pionowej ściany, zmuszając zmęczone mięśnie aby odpowiadały na rozkazy. Nie rozumiał dlaczego był taki zmęczony, ponieważ jak do tej pory nie wykonał wielkiego wysiłku fizycznego. Ale kamień po kamieniu, gdy się wspinał, energia wypływała z niego strumieniem, pozostawiając go w mglistej krainie półświadomości, która groziła poddaniem się obojętności. Odpoczywał, robił coraz dłuższe przerwy między podciągnięciami się, a skała, która wyglądała na dwadzieścia stóp, zdawała się rozciągać w pełną udręki nieskończoność.

Nie mógł uwierzyć, że znalazł się w odległości dwóch stóp od szczytu; ale patrząc w górę stwierdził, że powinien w to uwierzyć. Szaleńczym wysiłkiem woli rzucił się do góry i sięgnął do kolejnego uchwytu. Nie było go.

Szukał po omacku ręką, po gładkiej skale nad sobą. Wyciągnął się, by dosięgnąć do bliskiej krawędzi. I wtedy zdał sobie sprawę, że chociaż był tak blisko, nie mógł pójść dalej. Jego wcześniej już krwawiące ręce nie chciały trzymać się skały dłużej niż przez kilka sekund. Stopa ześlizgnęła się i spocony z przerażenia szaleńczo zaczął szukać palcami uchwytu.

Jego lewa ręka zsunęła się. Czerwona mgiełka napięcia zaćmiewała mu pole widzenia. Stopa odpadła, a ścięgna prawego ramienia rozciągnęły się do granic pęknięcia. Wiedział, że poleci, wiedział, że spadnie, wiedział, że Morrison sprzeda armię bogom zagłady… Prawa ręka zdrętwiała, straciła przyczepność i zaczął spadać.

Jakieś szarpnięcie rozdarło mu mięśnie i nerwy, coś zaciskało się wokół jego nadgarstka. Nie spadał. Wisiał nad pustką i coś trzymało go z góry!

Wyciągnęli go ponad krawędź i rzucili jego wyczerpane, złamane ciało na żwir niewielkiego płaskowyżu. A kiedy w końcu otworzył oczy, zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz oficera wywiadu i kilku potężnych strażników.

— Zwykle — oznajmił oficer wywiadu rzeczowym tonem — udaje im się dostać na górę, wbijając w skałę paznokcie. Wygląda jednak na to, że pan ma znacznie bardziej delikatną strukturę nerwową. Od początku raczej stawiałem, że przegra pan w tym miejscu. Po kilku razach, człowiek ma już oko do tych spraw.

Kapitan de Wolf leżał w miejscu, gdzie go upuścili. Ciemna mgiełka gniewu z porażki zaćmiewała mu wzrok, a po chwili opadła, pozostawiając go nagiego, brudnego i samotnego pośród wrogów swojego kraju.

Jakoś nieśmiało strażnicy podnieśli go i pociągnęli w kierunku małych budynków. Zabrali go korytarzem do dużego, dziwnego pomieszczenia. Wyraźnie zadowoleni, że dla nich to już koniec, posadzili go na krześle i

przypięli mu nadgarstki paskami. Kapitan de Wolf nie stawiał oporu. Nie uniósł wzroku.

Oficer wywiadu chodził z wdziękiem tam i z powrotem, powoli przemierzając pomieszczenie. Zatrzymał się i zapalił papierosa.

— Ta ucieczka była naprawdę bezsensowna — powiedział. — Pański przyjaciel Morrison powiedział nam wszystko, co wiedział. Przekazał nam liczbę żołnierzy, dywizje które zostaną użyte, stan wyposażenia, ogólny plan bitwy, właściwie wszystko oprócz dwóch drobnych faktów, których nie znał. — Podszedł bliżej do De Wolfa. — Nie potrafił sobie przypomnieć czasu ataku, ani miejsca zbiórki po jego powodzeniu – jeśli by się powiódł. Musi pan przekazać nam te dane, ponieważ jako oficer sztabu, oczywiście, pan je zna. Brauls! Przygotuj nr 4!

Kapitan de Wolf próbował się pozbierać. Próbował wzbudzić w sobie wściekłość na Morrisona. Próbował zrozumieć, że armia zginie z powodu tego co się stało dzisiejszego dnia. Nie mógł myśleć, nie potrafił czuć. Podtoczyli w jego stronę jakąś maszynę, a powykręcany stwór zwany Brauls coś przy niej poprawiał.

— Nic wam nie powiem — powiedział ciężko De Wolf.

Z klatki wyciągnięto psa i postawiono go na stole, do którego został przypięty. Zaskomlał i próbował polizać rękę żołnierza, który wykonał tę pracę.

Brauls, z twarzą ukrytą w kapturze, pracował fachowo nad małymi torami kolejowymi. Stał na nich niewielki wózek mający na bokach dwie wysokie burty ale bez tyłu ani przodu; jeździł po torach, które zostały poszerzone aby dostosować je do rozmiarów psa.

Brauls dotknął przycisku i z dysz po obu bokach wózka z nagłą gwałtownością strzeliły w dół małe strumienie wody. Wyrzucały one wodę pod ogromnym ciśnieniem. Strumienie, tnące drewno szybciej niż jakakolwiek piła, z żarłocznym sykiem zaczęły toczyć się na wózku w stronę psa.

Kapitan de Wolf próbował opuścić wzrok. Nie mógł. Mały samochód wjechał nad psa, a potem dysze zaczęły wyrywać jego ciało, ułamek cala na raz – De Wolf zdołał w końcu odwrócić wzrok. Wrzaski agonii, które wydawał z siebie cięty pies, przeszyły De Wolfa.

— Nic wam nie powiem — powtórzył.

Rozpostarli mu rękę i ustawili szyny po obu jej stronach. Ruszyli wózkiem w stronę rozciągniętej ręki. Bez przerwy patrzył jak się zbliża.

Na namawiające słowa oficera wywiadu odparł:

— Nic wam nie powiem.

W kilka godzin później oficer wywiadu sporządzał raport. Zatrzymał się po tym, jak wpisał nagłówek oraz datę, i spojrzał na swoje długie, ostre, poplamione nikotyną paznokcie. Potem westchnął i wrócił do pracy.

RAPORT WYWIADOWCZY
Baza 34D, Merkury
Adsama 452

Dzisiaj, przesłuchano dwóch oficerów schwytanych w samolocie rozpoznawczym z Ziemi, kapitana Forrestera de Wolfa i chorążego Morrisona.

Kapitan de Wolf, po zastosowaniu procedury dwadzieścia trzy, taktyki ucieczki, nie ujawnił niczego. Później poddano go procedurom czterdzieści pięć, dziewięćdziesiąt siedem, dwadzieścia jeden i sześć. Umarł nie mówiąc ani słowa.

Chorąży Morrison został zabrany z celi do komory. Był w bardzo wojowniczym nastroju. Zastosowano procedury czterdzieści pięć, dziewięćdziesiąt siedem i sześć. Pomimo stanu podmiotu, zdołał on wykorzystać chwilę nieostrożności strażnika i zabrać mu automat. Zdołał go utrzymać nawet po zastrzeleniu. Nie chcąc ryzykować ujawnienia danych, chorąży Morrison popełnił samobójstwo. Strażnik został aresztowany.

Z tej próby oraz z uporu wroga, dochodzę do wniosku, że może jednak dojść do jakiegoś ataku, ale ponieważ nasi zwiadowcy niczego nie wykryli, nie spodziewam się go w tym kwartale.

Drau Shadma
Kapitan, Saturniańskie Siły Imperialne
Wywiad

W sztabie Trzeciej Armii Kosmicznej Stanów Zjednoczonych Ziemi, generał Balantine siedział ciężko przy swoim polowym biurku, niecierpliwie przeglądając plik raportów.

— Pasy! — krzyczał na adiutanta. — Powiedz pułkownikowi Strawnowi, że niezależnie od tego, czy jego zdaniem regulacje dotyczące pasów bezpieczeństwa są bezużyteczne, czy nie, jego żołnierze będą ich używać, a razie potrzeby nawet w nich paradować!

— Tak jest — powiedział nieśmiało adiutant. Miał w ręku jakiś raport i nie bardzo chciał go przekazać.

— Tak? — powiedział ostro generał Balantine. — Co tam masz?

— To raport, panie generale. Kapitan de Wolf i chorąży Morrison zaginęli podczas zwiadu. Nie zameldowano o ich powrocie przez półtora dnia.

— Morrison? De Wolf? Och, tak, De Wolf. — Generał Balantine przez chwilę milczał. Potem dodał zmienionym tonem: — Morrison… Morrison. Nie znam tego człowieka. Ja… nie… wiem…

Znowu zamilkł, a więc jego nagły powrót do aktywności był tym bardziej zaskakujący.

— Przesłać rozkaz do rady oficerów. I wyznacz mi kolejnego adiutanta. Cholera, to był taki fajny plan ataku.

— Zmieni pan plany, panie generale?

Generał Balantine prychnął.

— Będą nosić te pasy bezpieczeństwa. Zmienię też ten plan ataku. Nie wiem… nie wiem… czego dowiedzieli się Saturnianie. Nie sądzę, aby De Wolf… ale to nie ma znaczenia. Musiałbym to wiedzieć z pewnością, a to jest niemożliwe. Mamy czas na zmiany. Opublikuj to powiadomienie.

KONIEC